ROK PIĄTY.

—

№ 10.

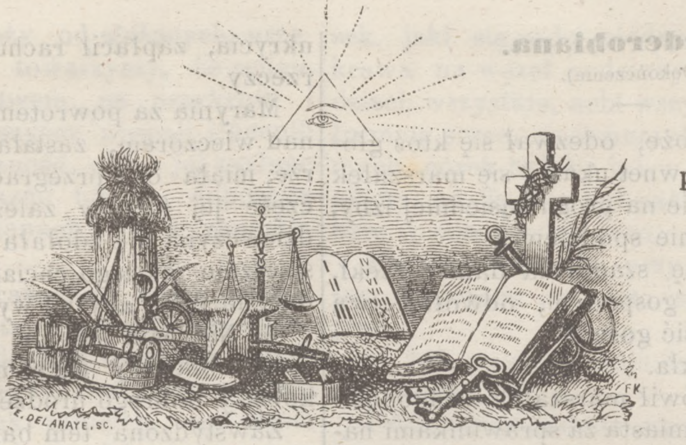
WARSZAWA

d. 21 lutego (3 marca)

1860.

REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

NIEDZIELA.
2ga postu.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Zyskowne bardzo jest rzemiosło jałmużna nad inne wszystkie. Ta nie da zgasnąć naszym lampom; ta nie da nam w plugawej sukni zasięść na godziech Pana naszego; ta nie da nam wpaść, gdzie ou bogacz wrzucony jest, ale nas na łono Abrahamowe prowadzi. (*Czytania Bractwa miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.*)

Zdrowaś Maryja.

(jako Marychna z Dobrowoli śpiewała ją z siostrami swemi)

Jak lilia między cierniami, tak przyjaciołka moja między córkami Adamowemi.

—

Zdrowaś Maryja, o pełna łaski!
Za to, żeś skromna i cicha,
W gwiazd cię promienne przybrała blaski
Pokora twoja, nie pycha.
W biednego cieśli ubogiej chacie
Przędłaś nić twojej kądzieli,
A Stwórca światów na majestacie
W dziewiczej dojrzał cię bieli;
Boś jak liljowy kwiat Salomona
Ku niebu rosła od ziemi.
Pan twój jest z tobą, błogosławiona
Między niewiasty wszystkiemi;
Tak, pan twój z tobą Matko-Dziewico!
Owoc twojego żywota.
Jednak się szaty twoje nie świecą
Blaskiem purpury, ni złota,
Nie w górnych gmachach twoje mieszkanie,
Korne nie stroją cię służki,
Syneczka twego w żłobku na sianie
W grube spowiłaś pieluszki.
Potem chłopięciu święta twa ręka
Podpłomyk piekła co rano;
Z twego przędziwa była sukienka,
O którą losy rzucano.
A przecież świętą i Matką Bożą
Zowią cię ludów królową,
U twych ołtarzów pobożnie korzą
Koronowaną swą głowę;
A gdy grom Boży huczy po niebie,
Posady trzęsą się ziemi,
Wraz z prostaczkami błagają ciebie:
Módl się za nami grzesznemi!
Módl się Maryjo, i jako ninie
Głosy podnosim dziewicze,
Tak w ostatecznej śmierci godzinie
Jasne nam ukaż oblicze.
Bo my tej starej krainy córy,
Ktorą w dnia każde świtanie
Rycerskie dźwięków budziły chóry: (1)
Niech chwała twoja się stanie! .

---

(1) Wojsko dawnej Rzeczypospolitej Polskiej powszechnie przyjętym obyczajem, grało jako pobudkę wojskową, starożytną pieśń do Najświętszej Panny: *Zawitaj ranna Jutrzenko.*

Garderobiana.

(Dokończenie).

—

To być nie może, odezwał się ktoś głosem stłumionym, i wnet ukazał się marszałek we własnej personie na progu sąsiedniej izby, gdzie się go nikt nie spodziewał.

— A ja ci radzę szanowna damo, rzekł, zwracając się do gospodyni, odwołać twą wieczerzę i odprosić gości...

Gospodyni uciekła.

— Maryniu! mówił marszałek z łagodnością, jedziemy do miasta za sprawunkami naszej pani; konie już zaprzężone, wsiadajmy.

Podczas podróży marszałek rozmawiał z garderobianą; poznał w niej zdrowy rozsądek i nieugiętą uczciwość. Ale starzec ten był niedowierzającym; lubił on wybadywać charakter każdego. Wysadził dziewczynę przed magazynem bielizny, i kazał jej zakupić różne przedmioty po cenie przez panią oznaczonej.

— Za godzinę przybędę do ciebie i zapłacę; każ przygotować rachunek.

Marynia wypełniła zlecenie; wybrała towaru za 500 złp.

— Na jakąż summę mam przygotować rachunek, zapytał kupiec.

— A na 500 złp. odrzekła dziewczyna, wszak to jasne.

— Panienka widać niedawno bawi u pani baronowej...

— Dlaczego?

— Jest u nas zwyczajem być grzecznymi dla panien służących zacnych dam, które nasze magazyny zaszczycają kupnem. Takimi chcemy być i dla panienki... chcę podać w rachunku 550 złp., z tych 50 będzie dla panienki.

— Za kogóż mię to pan masz? przerwała z gniewem dziewczyna

— Za pannę służącą, jak mi się zdaje, odpowiedział kupiec ze złośliwym uśmiechem.

— A gdyby odkryto tę nieuczciwość!

— O! bądź spokojną moje serce; jak kamień w wodę wrzucił.

— Wpisz pan 500 złp. mój panie, inaczej ostatni raz mię tu widzisz.

— Panna jesteś cudowną panną służącą, śmiejąc się, powtórzył kusiciel.

Marszałek, który od kwandransa niepostrzeżony stał za stosem płótna, wyszedł z ukrycia, zapłacił rachunek i kazał zabrać rzeczy.

Marynia za powrotem swoim do domu już nad wieczorem, zastała panią w złym humorze; miała ona przegrać sprawę, od której część jej fortuny zależała, i kiedy biedna dziewczyna nie zdołała uczesać ją dosyć pośpiesznie jak tego chciała, rozgniewana podniosła rękę, aby jej wyciąć policzek.

— Nie, pani tego nie zrobisz, zawołała sierota, oblawszy się rumieńcem, nie, boś jest kobietą dobrego urodzenia.

Zawstydzona tem baronowa opuściła rękę, i patrząc długo w garderobianę, przemówiła do niej w końcu:

— Wyrażasz się przyzwoicie, kto ciebie wychował?

— Naprzód moja biedna matka pod okiem godnego proboszcza naszej wioski, a po jej śmierci zakonnice Sgo Ducha w Sandomierzu.

— Mówią mi, żeś jest nabożnisią aż do śmieszności.

— Nie sądzę: służę Bogu, jak umiem, i szanuję mych panów, oto moja zasada.

Lekkie pukanie do drzwi przerwało rozmowę; był to marszałek niosący batysty i koronki, które sprawiła Marynia.

Garderobiana wyszła na znak rozkazujący marszałka. Głos dzwonka przyzywał ją niedługo; twarz baronowej pełna była łagodności.

— Pan marszałek rozpowiedział mi szczegóły, które ci za chlubę przynoszą, mówiła baronowa; jestem bardzo kontenta z ciebie, rozbierz mię i idź spać; sama odbędę moje zwykłe czytanie, aż zasnę... Obudzisz mię o 6éj, pójdę na zioła w góry.

Dziewczyna spuściła oczy.

— Wszystko jeszcze śpi w pałacu o tej godzinie, i nie wiem, czy...

— A! zapewnie nie masz zegarka, rzekła baronowa, uśmiechając się; przynieś mi mój, który leży na tualecie.

Marynia wypełniła rozkaz.

— Zegarek ten weź dla siebie; nie będzie to ostatni znak mojej łaski, jeżeli nadal będziesz taką jak dotąd.

Marynia przez swe postępowanie przekonała baronową, że religia jest główną rękojmią,

jakiej wymagać należy od służących; przekonała nadto swych towarzyszy, że religia jest jedynem lekarstwem na przykrość i trudy służby. Już wszyscy poznali i ocenili jej cnoty, gdy Opatrzność chcąc jej zasługę w prawdziwym pokazać blasku, dopuściła wypadków niespodzianych, które zmieniły położenie baronowej.

Odebrała ona zatraszające nowiny; dnie całe radziła zamknięta z marszałkiem i prawnikami, a po tych długich naradach usposobienie jej stawało się do niezniesienia. Przestała swych wycieczek rannych, sypiać nie mogła; zdrowie upadało, a dziwactwo coraz bardziej rosło. Marynia zwiększyła jeszcze swą gorliwość i łagodność; dziwactwa baronowej wzbudzały w jej sercu żywe współczucie.

Jednego wieczoru pani bardziej upadła na duchu, niż zwykle, położyła się wcześniej, mówiąc do Maryni:

— Smutno mi dziecię moje i ciężko na duszy; przynieś mi książkę, aby mię pocieszyła. Dziewczyna pobiegła do swego pokoiku i przyniosła *Żywoty SS.* Baronowa mimo smutku i niepokojów, jakie ją dręczyły, nie mogła wstrzymać się od głośnego śmiechu.

— Ja nie czytuję tego, rzekła, przynieś mi książkę z mojej biblioteki.

I garderobiana zaczęła czytać książkę, po którą ją baronowa posłała. W trakcie czytania lekki uśmiech przebiegł po ustach dziewczyny.

— Z czego się śmiejesz moja mała?

— Ach! pani, wybacz mi, ale ten zbiór i hałas słów próżnych bez myśli nie mógłby mię nigdy pocieszyć.

— A cóżbyś wtedy czytała?

— *O naśladowaniu Chrystusa.*

— Naśladowanie? powtórzyła baronowa zdziwiona... ty mówisz, że to książka, która niesie pociechę?

— O! tak pani, ja w niej zawsze znajdowałam pocieszenie.

— Zobaczymy później.

Marynia ucałowała ręce swej pani.

— Mała pochlebniczko! mówiła baronowa, poprawiając wychudłą ręką jasne pukle włosów zdobiących pogodne czoło dziewczyny; zmieniasz mi charakter, i robię niekiedy to, co ty chcesz, nie wiedząc sama o tem. Związek, jaki się rodzi między mną, a tobą zakrawa na węzeł rodzinny. Straciłam moje dzieci, wszystkie, ach! wszystkie... To złamało moje serce, pochmurzyło umysł. Jedna z mych córek byłaby już w twoim wieku... o! gdyby mi ją Bóg był zachował, uwierzyłabym w miłosierdzie jego.

Marynia klęczała przy łóżku baronowej, łzy jej gorące i rzęsiste spadały na dłoń jej pani.

— Idź, spocznij moje dziecko; potrzebuję być samą.

I dziewczę odeszło na palcach z pokoju baronowej.

Od tej chwili, baronowa zlała na Marynię nieograniczone zaufanie i uczyniła jej służbę nie tak uciążliwą. Błogosławiło dziewczę rękę Boga za tę odmianę, i starało się dostarczać swej pani drobnych przyjemności i rozrywek, ile na to usposobienie jej pozwalało.

A gdy jednę ze służących wydalono z pałacu, postaraj się o taką, która ma w sercu pobożność, rzekła baronowa do marszałka; tylko na takie kobiety spuścić się można... patrz na mą małą Marynię.

— Panna Maryanna jest prawdziwym aniołem, wyrzekł starzec z zapałem; od dwóch miesięcy szukam w niej jakiej wady i nie mogę znaleźć. Pobożność jej nie ma nic dziwacznego i nieprzyjemnego; pokój czystego sumienia jaśnieje na jej słodkiem obliczu. Nie wywyższa się ona nad swe towarzyszki mimo swej rzeczywistej wyższości, znosi ich wady bez szemrania i świadczy im tysiączne usługi bez interesu, jedynie dlatego, aby im sprawić przyjemność. Mnie samego szanuje; radzi mi się jak ojca, prawi mi kazania, a niekiedy zdejmuje z głowy kapelusz, gdy przechodzimy wedle wiejskiego kościołka — jeszcze gotowa mnie nawrócić...

Baronowa się roześmiała.

Służba jednak baronowej zaczęła rozprawiać głośno o złym stanie jej interesów, i niejeden już chciał ją opuszczać. Jan zaczął pierwszy odwrot, za nim stangret, a potem gospodyni. Kucharka zaś na odchodnem przyszła do Maryni.

— I ty moja panienko nie masz tu co

robić; ja cię umieszczę w jakim zamożnym domu— dobrze?

— Nie, moja droga; pani moja jest dla mnie dobrą, po cóż ją rzucać, to czarna niewdzięczność!

— Masz tobie!.. Jan i gospodyni powiedzieli mi, że baronowej majątek runął cały; boją się o swe zasługi, i dlatego służbę opuścili.

— Ale ja tego nie zrobię, i tobie radzę, zostań; jak nas pani sama odprawi, to jeszcze będzie na to pora.

Tymczasem interesa baronowej coraz bardziej się wikłały: wydziedziczono ją, sprzedano majątek. Kucharka odeszła, a nieszczęśliwa pani tylko z poczciwą swą garderobianą przeniosła się do Warszawy, do bardzo skromnego mieszkanka.

Baronowa powróciła pewnego wieczoru z przechadzki bardzo zmęczona. Marynia tak jak zawsze, podała jej wieczerzę, którą sama przyrządziła.

— Dziękuję ci Maryniu! troskliwość twoja mię wzrusza; ale byłoby z mej strony nieszlachetnie nadużywać twego dobrego serca i burzyć twoję przyszłość, wiążąc cię do starej kobiety odartej z majątku. Jedna z mych przyjaciółek, która cię poznała u mnie, chce cię wziąć do siebie. Aczkolwiek będzie bolesnem dla mnie to rozłączenie, muszę uledz konieczności, która mi to uczynić wskazuje dla twojego dobra.

Dziewczyna płakała.

— Czyż ci się w czem naraziłam o! pani? wyrzekła, szlochając.

— Co? moje dziecko, zawołała baronowa wzruszona do żywego, czyż to bierzesz za odprawę, myślisz, że ci się chcę pozbyć?

— Myślę, że chcesz, abym ja opuściła panią, która nie ma nikogo...

— Ależ dziecko, muszę być szczerą zupełnie; wiesz że o tem, że ja nie mam czem zapłacić twych zasług nawet?

— Ja pracować będę na panią i na siebie.

— Jesteś aniołem Maryjo! przemówiła baronowa, przyciskając sierotę do piersi; gdzieżeś czerpała te wzniosłe i szlachetne uczucia?

— W religii świętej.

Baronowa porwała książki, które zwykle czytywała, i rzucając w ogień, wołała:

Maryniu! podaj mi twoję książkę.

— Moję o *naśladowaniu Chrystusa?* wykrzyknęła garderobiana; ach! zaraz, natychmiast!

Baronowa, która w gruncie była kobietą uczciwą, zasmakowała niedługo w słodyczy tej ewangielicznej księgi, w której codziennie czerpała pociechę i siłę. Powróciła ona do Boga z sercem skruszonem i była wzorem dla innych.

Bóg spojrzał na nieszczęśliwą.

Jeden z rodziny baronowej, bardzo bogaty człowiek, umierając, zapisał jej cały swój majątek. Baronowa odkupiła swe mienie i pałac, przyjęła prawnie za córkę swoję Marynię i przygotowała testament, w którym ją uczyniła przyszłą dziedziczką całej spuścizny. Bogactwo jednak nie zdołało zwichnąć uczuć religijnych, i gdy baronowa zatrzymuje się dziś przed kościołem dla rozdania hojnej jałmużny żebractwu, ubodzy do przechodniów,



którzy się dziwią jej miłosierdziu, odzywają się temi słowy:

— Tą matką ubogich jest baronowa *Czarnodulska*, a ten anioł, który ją prowadzi pod ręce, jest to Marynia, pobożna jej garderobiana!

Rady dla włościan

z Hygieny popularnej.

W pewnej wsi w Krakowskiem, zeszli się parafianie na nieszpory, po których ks. proboszcz miał kazanie, gdy zaś kończył, rzekł do zgromadzonego ludu, aby się na cmentarzu zatrzymano. Chłopstwo ciekawe było, po co je ks. proboszcz zatrzymuje? i myślało, że będzie zalecał składkę na pogorzelców, albo na szkołę parafialną; dlatego jaki taki chciał zmykać do domu, aby się od obowiązku miłosierdzia wyłamał. Ale ks. proboszcz prędko się uwinął, zdjął komżę i przez zakrystyę wyszedłszy, zastąpił uciekającym od furtki, mówiąc: Gdzież wam się tak spieszy:.. czy do karczmy?.. karczma nie ucieknie przed wami, i będziecie w niej jeszcze na czas, aby w niej utopić zdrowie wasze, sumienie i pieniądze. Ale wy, co przed dobrem słowem uciekacie, czynicie jak bydło, które ucieka ze zdrowego pastwiska, gdzie pożywna trawa rośnie, a biegniecie do bagien, któremi się zatruwa i często w niej śmierć połyka. Siadajcie więc na cmentarzu, na dawnych mogiłach ojców waszych, i słuchajcie z uwagą, co wam dla waszego dobra mówić będę.

Usiedli więc ludzie jak kto mógł, dzieci powyłaziły na mur od cmentarza, aby lepiej mogły słyszeć i widzieć, inni na schodach od kościoła, a ksiądz proboszcz stanął sobie przed dzwonnicą, i tak do ludu prawił:

Życie i zdrowie są darami Bożemi. Bóg je daje człowiekowi, aby używając onych wedle przykazań pańskich, Bogu chwałę, a sobie doczesną pomyślność i wieczne zbawienie przysparzał. Ani więc życie, ani zdrowie nie są wyłączną człowieka własnością, ale należą do Boga i są narzędziami, przez które człowiek służy Bogu, a ztąd też za nie jest mu odpowiedzialnym. Kto sobie życia ukraca, lub na zdrowiu szkodzi, popełnia grzech śmiertelny, bo dar Boży téra i nadużywa, a Bogu chwały, sobie zaś zbawienia ujmuje. Dlatego wszystko, coby zdrowie i życie niszczyło, stanowi grzech śmiertelny, jakto: obżarstwo, pijaństwo, nieczystość, gniew i t. d. Wy wiecie, iż samobójca, tak jak i zabójca równą popełniają zbrodnię. Ale cóż wy rozumicie przez samobójstwo?.. Oto, pałką albo kołem z płotu głowę strzaskać lub pierś roztrącić. Lecz moi kochani parafianie! są inne jeszcze rodzaje samobójstwa i zabójstwa, mniej gwałtowne w środkach, ale równie pewne w skutkach, a tak częste, iż zaledwie nie wszyscy, którzy mnie tu słuchacie, jesteście albo samobójcami, albo zabójcami. Zaraz wam to wytłumaczę:

Każdy grzech jest nietylko samobójstwem ducha, ale też i zabójstwem ciała, bo chociaż zwolna, to przecież do śmierci prowadzi. I tak weźmy *pijaństwo*. Myślicie może, iż się tylko w rzece, albo w jeziorze, lub w stawie utopić można; a ja wam powiadam, że i w kwaterce niejeden się utopił i życie w niej utracił; bo chociaż od razu nie umarł, to upijając się, ciągle umierał i ciągle mu życia i zdrowia ubywało. Do was się pijaki odzywam i zapytuję, czyście na drugi dzień po przepiciu byli zdrowi i rzeźwi?.. Przypomnijcie sobie, jakeście się skarżyli, że was mdli, i że wam głowa ciąży na karku. Ani do roboty, ani nawet do jadła nie mieliście ochoty, ale was paliło wewnątrz, a zdawało wam się, iżbyście się przespać radzi, chociaż gdy chcieliście spocząć, to i sen od was odbiegał. Otóż zatopiliście się w kwaterce jakby w jakiem jeziorze, a jeśli tym razem jeszcze nie na śmierć, to zawsze na chorobę. Że zaś każda choroba jest zadatkiem na śmierć, więc kiedyś się upił, toś już śmierć sobie w karczmie zatargował i dałeś na nią zadatek. Upiłeś się drugi, trzeci, a może setny raz, toś już życie swoje i zdrowie sprzedał, a pewną i blizką śmierć zakupił.

Teraz weźmy *obżarstwo*. Powiadacie: coby to był za grzech jeść, kiedy przecież bez jadła nikt się nie obejdzie! A któż wam kiedy mówił, że jedzenie jest grzechem? Ja was zawsze uczyłem, iż grzechem jest obżerać się nad miarę, to jest jeść więcej, niż potrzeba wymaga. Kiedy widzisz przed sobą pełen garnek polewki albo barszczu ze sztuką i miskę ziemniaków, tobyś chciał je pierwej zjeść oczami, zanim się do jadła zabierzesz. Aż ci się dusza do jedzenia śmieje, a to nie dlatego, abyś był tak głodnym, ale że więcej barszcz ze sztuką i ziemniaki z omastą lubisz nad twe zdrowie i nad twoję duszę. Jesz więc łapczywie więcej, niż żołądek twój bezkarnie zmieści; i rzeczywiście, gdybyś w stodołę twoją tyle snopków pakował, ile w twój

brzuch pokarmu, tobyś w niej ściany rozsadził, pomimo, że są z drzewa na węgieł budowane. A jakże dopiero nie ma pęknąć brzuch twój, co jest tylko z błony utworzony, jakeście to nieraz w bydlęciu widzieli. Obżarstwo więc jest jedzeniem nad miarę i potrzebę; jest to zakochanie się w jadle, dogadzanie językowi i podniebieniu swemu ze szkodą i krzywdą żołądka, a więc i zdrowia. Bo żołądek w człowieku jest to ów gospodarz, który musi dla całego ciała, jakby dla swojej czeladzi dostarczać pożywienia i rozdzielić, co któremu przynależy, a surowizny żadnemu nie dawać. A jakże ów żołądek ma go przyspobić i rozdzielić, kiedy aż kipi z niego, tyle weń ładujecie i czasu mu na przygotowanie nie zostawiacie. Weźże który z was kwartowy garnek i wsyp do niego kwartę kaszy, a do tego wlej wody i gotuj przy ogniu, to zobaczysz, że jak kasza rozpęcznieje, to i przez wierzch wyłazi, i garnek rozsadzi i niema z tego żadnego jadła, bo się nawet kasza nie ugotuje, ale przypali. Otóż to samo robi się z żołądkiem. Weźmy najbliższy przykład: oto przeszłej niedzieli poszedł chłopak w pański groch, siadł w bruździe, aby go nikt nie widział, i mówił sam do siebie:

Ej, teraz się też dopiero najem grochu!

I prawda że sobie nie żałował, bo łuskał a jadł do woli. Ale cóż? zapomniał o tem, że groch dojrzały przyrasta i pęcznieje; najadłszy się, poszedł do strumienia i napił się wody. Więc cóż się z nim stało? Oto przynieśli go chorego do chałupy, a na trzeci dzień już eśmy go pochowali. A znowu owa Baśka, co także umarła? Oto zakradła się wieczorem do sadu, i dalejże rwać a jeść zielone jabłka i gruszki. Powróciła do domu, a matka jej się pyta, zkąd tak późno wraca?.. i miała ją ukarać, mniemając, że poszła na muzykę. Ale ona wywinęła się tem, że ją późno od roboty uwolnili we dworze, i że ekonom przy świecy wypłacał. Matka uwierzyła i dała jej na wieczerzę kwaśnego mleka z młodemi ziemniakami, co też zjadła, choć jej się nawet jeść nie chciało. Na drugi dzień źle!.. dziewka stęka, bo ją okropna trapiła biegunka, ale się nic nie przyznała, z czego ta choroba, tylko ciągle wodę piła, aż się przyplątała dyssenterya (biegunka krwawa) i zapalenie kiszek, i już po wszystkiem. Otóż i ją zabiło obżarstwo! Albo znowu ów Jasiek złodziej (niech mu Bóg przebaczy), co to poszedł do sołtysa i wyłupiwszy ul, najadł się miodu z woszczynami... i ten także gnije w świętej ziemi! Więc moi parafianie, przypominając wam odwieczne prawidło, iż człowiek nie po to żyje, aby jadł, ostrzegam, że nie na to też trzeba jeść, aby sobie chorobę i śmierć sprowadzać, ale aby wedle miary i potrzeby ciało posilać i żyć na chwałę Boga. Otóż widzicie, że obżartuch, łakomca, nienajadek bywa samobójcą, bo w garnku albo misie śmierć połyka. Ale dzisiaj to próżno i gadać wam o tem, bo wszyscy tylko o brzuchu myślicie, a gęba wasza to jakby młyn, który ciągle miele, iż nawet brzuch jadła wypytlować nie może. Szczególniej zaś czeladź, czy dworska czy miejska, to chciałaby przez całe życie nic więcej nie robić, tylko śniadać, obiadować i wieczerzać. O tem myśli, tego tylko pragnie i w tem ma zakochanie; dlatego też nigdy dosyć parobkowi: daj mu na dwoje, mało; daj mu na troje, to powiada, iżby się i na czworo przydało; daj mu kapusty z grochem, to woła o kaszę z mlekiem; daj mu kaszy, to wybredza i chce klusków; a jak mu kluska nie pływa w omaście, to narzeka, iż jałowa, i rzuci łyżkę i dziękuje za służbę. Oj, moi ludzie! tak się dzieje między wami, a codzień doświadczacie, ile to chorób i ile śmierci z obżarstwa pochodzi. Miejcie więc litość i nad waszą duszą i nad waszem ciałem, a miarkujcie się w jadle, szczególniej zaś strzeżcie się surowizny, z czego pochodzi ziemnica, biegunka, cholera i wiele innych chorób, które się znowu do nich przyplątują. Dzieci zaś wasze strofujcie i do wierności wcześnie wprawiajcie, aby nie wyszły na obżartuchów.

O literaturze niepisanej i o poezyi ludowej (1).

I.

Jak klasa ukształceńsza posiada swoję

(1) Literatura czyli *piśmiennictwo* jest to zbiór tego, co w jakim narodzie pisarze jego, czyli twórcy dzieł, napisali i do druku podali. Literatura zaś *niepisana* obejmuję to, co między ludem bez pisma w podaniu tylko żyje i przechodzi do potomności.

literaturę i poezyę pisaną, będące owocem natchnień i prac znakomitych jej poetów i pisarzy, tak i lud nasz posiada znakomite nader skarby w swojej literaturze niepisanej, to jest w baśniach, w przypowieściach, piosneczkach, zagadkach, przysłowiach i podaniach, które przechodząc od ojców do synów, doszły nietylko do naszych czasów, ale zapewne w odległej jeszcze przyszłości bawić będą coraz nowe pokolenia, wpajając w nie ducha poetycznego, oraz zamiłowanie wszystkiego, co jest wzniosłem, szlachetnem i dobrem.

Poezya ludu kryje się jak barwinek, a świeżą jest jak lilija; jest to cudowne źródło, u którego poezya pisana odmładza się, w niej wreszcie lud wszystkie swoje myśli, uczucia i pociechy złożył; w niej znajduje się pierwszy promyk moralności, pierwsze nasiona i zarodek wszystkiego, co się później rozwinie i stanie. Mędrzec znajduje w nich przechowane ważne, niespodziane i ciekawe wiadomości; w nich bowiem widać, jakie dusza niezepsuta, od świata otaczającego odbiera wrażenia, jak je w słowa składa i jaki im kształt nadaje.

Któż z nas nie nasłuchał się w dzieciństwie przypowiastek, zagadek, legend i baśni, tak zwanych gadek ludowych, jednych prawie i tych samych? co najlepszym jest dowodem ich dawnego pochodzenia, skoro się tak po całej ziemi naszej rozpowszechniły, że najdalszych jej doszły zakątów.

Wprawdzie znajdują się niejedne w opowiadaniach tych odmiany i różnice pomiędzy odległemi kraju okolicami, co naturalnie pochodzi z niedokładności pamięci w podaniach ustnych nieuniknionej; wszakże myśl główna przechowała się w nich wiernie jedna i ta sama.

Z bogatych tych skarbów obficie korzystali znakomici nasi pisarze, jak Brodziński, Mickiewicz, Zaleski, Odyniec, Goszczyński, Hołowiński i wielu innych; w piśmie naszem podaliśmy takoż kilka legend osnowanych na tle ludowem, jak np. Pan Bóg żebrakiem, historya o kowalu Matjaszku, Fujarka, Chciwość ukarana, o Djable i ubogim kmiotku, Brzoza na cmentarzu, Skarb zakopany i Koniczyna kolczasta.

Znaną jast powszechnie gminna powiastka o rozbójniku Madeju. Nie można napewno twierdzić, czy żył kiedy rozbójnik Madej, albo nie, choć o nim krążą gadki po całej obszernej Polsce; ale moralna nauka w niej zawarta jest prawdziwa.

Madej zabił tyle ludzi, ile miał włosów na głowie, nie przepuścił nawet własnym rodzicom, a czekała go więc okropna kara w piekle, straszne łoże *Madejowem* zwane, zawczasu przygotowane dla spodziewanej wkrótce duszy zbrodniarza. Łoże to całe z żelaza i na szrubach: z jednej strony wiszą klamry dla ujęcia głowy, a w drugiej dla skrępowania nóg; i to się skraca do rozmiarów kolebki, to się na kilkanaście łokci rozciąga. Spód i boki najeżone nożami, brzytwami, sztyletami, nożycami, obcęgami, kleszczami, szydłami i hakami, wszystko rwie, i kole, szarpie kraje i nacina; z dołu buchają płomienie nieustanne, a zgóry rozpalona siarka ognistym dżdżem spada.

Prawda w tem jest ta, że za wielką zbrodnię czeka człowieka i kara równie wielka. Umysł ludu oburzony ohydnością takiej zbrodni, w wymierzaniu kary nagromadził wszelkie pojmowane przezeń środki zadawania boleści. Następnie wszakże, jakąż widzimy w tej samej opowieści wiarę w miłosierdzie Boże, jeżeli odpowie dnia zbrodni nastąpi pokuta! Tak Madej dowiedziawszy się o przygotowanych dlań mękach, nie oddaje się rozpaczy, ale ufny w nieprzebrane miłosierdzie pańskie, pragnie oczyścić sumienie swe spowiedzią i pokutą. Ale że zakonny braciszek, od którego żądał wysłuchania spowiedzi, jako niewyświęcony na kapłana, takowej przyjąć odeń nie chciał, zgodził się na naznaczoną przezeń tymczasową pokutę. Ale jakaż to była owa pokuta? oto braciszek wbił krwawą buławę Madeja w ziemię, i rzekł mu: kiedyś, gdy kapłanem zostanę, przyjdę cię wyspowiadać, a teraz uczynkami miłosierdzia, skruchą i pokutą staraj się grzechy twe zagładzić. Codzień więc napełnij sakwy pieniędzmi, które z rabunku posiadasz, idź na klęczkach do płynącego w tej dolinie strumienia, nabieraj wody do ust, i na klęczkach do buławy, narzędzia twoich grzechów powracaj, i przez całe ją dnie podlewaj — roś ją łzami i wśród postów, łez i cierpień błagaj Boga o odpuszczenie grzechów. A gdy twe skarby tym sposobem ubogim prze-

chodniom rozdasz, a ta buława przyjmie się, puści odrostki, okryje się liściem, zakwitnie i owoce wyda, wesel się i raduj naówczas, bo grzechy twoje Pan ci odpuścił. I stało się, jak braciszek powiedział. Po wielu, bardzo i wielu latach pokuty, gdyż przez ten czas braciszek ów nietylko kapłanem, ale nawet biskupem został, i z młodzieńca w podeszłe lata zaszedł, buława Madeja w piękną jabłoń się rozwinęła i okryła się czerwonemi jak przelana krew jabłkami, które pachniały, jak pachnie przed Bogiem niewinność ludzi, którym rozbójnik życie odebrał. I kiedy biskup znęcony w podróży zapachem jabłek, przybył na miejsce, a ujrzawszy klęczącego i obejmującego rękami jabłoń zgrzybiałego starca, o zaszłej z Madejem przygodzie sobie przypomniał, i wysłuchawszy go spowiedzi, rozgrzeszył, wszystkie jabłka wtedy oderwały się od jabłoni i spadły na ziemię, a Madej skłonił głowę na piersi i z rajskim uśmiechem Bogu ducha oddał. Co zaledwie że się stało, nagle zwiędłe starca ciało w marny proch się rozsypało; a dusza skruchą zbawiona, z więzów ciała uwolniona, jako gołębica biała, wprost do nieba poleciała.

Ileż tu w tej zmyślonej powiastce jest wzniosłych prawd moralnych!

Na tle powyższej baśni ks. biskup Hołowiński osnuł prześliczną legendę pod tytułem: *Buława Madeja*. Odmienną ona jest nie co w swej treści od powiastki przez nas podanej, główna wszakże myśl jest jedna i ta sama; przytaczamy tu tej zakończenie:

Kiedy się kapłan w swej wędrówce dowiedział od towarzyszącego braciszka o owym starym pustelniku klęczącym pod jabłonią,

Zaraz poszedł z bratem i obaczył,
Że Bóg pokutę zbójcy przyjąć raczył.
Trzęś, rzekł do zbójcy — potrząsł, lecz nie spada
Najmniejsze jabłko; wtedy go spowiada,
A po spowiedzi znowu trząść mu każe:
I wszystkie jabłka wnet się posypały,
Lecz dwa największe na wierzchu zostały.
—Widzisz, rzekł kapłan, że Bóg dobry maże
Wszystkie zabójstwa, prócz ojca i matki.
Lecz nie rozpaczaj, Bóg kocha swe dziatki:
Jeszcze łez więcej, jeszcze westchnień trzeba,
Błagajmy razem miłosierne nieba;
Łzom i modlitwom Pan Bóg zawsze sprzyja.
Para gołąbków siada na jabłoni,
Wesoło grucha, wesoło się goni,
Trzepiąc skrzydłami, te dwa jabłka zbija.
Jak dobry zbawca prędko modłów słucha,
Mówił pustelnik, roszące łzami lice,
Bóg im przebaczył i moi rodzice;
Tak niebu miła w ludziach święta skrucha.
A w tem zamilknie, na pierś głowę skłoni,
Oddaje Bogu z rajskim śmiechem ducha;
Para gołąbków, zrywa się z jabloni
I lecąc w niebo, taką pieśnią grucha:

Po łzach i znoju,
Chodź do pokoju
Kochany synu nasz;
Grzech cię nie plami,
Omytą łzami
Sukienkę cnoty masz.

—

Jęki i łezki,
To kwiat niebieski,
Jak rozkoszna jego woń!
Błogosławiona
Miłość wcielona
Tem kwieciem zdobi ci skroń.
Bóg się weseli,
Święci, anieli
I cały cieszy się raj,
Żeś ty zgubiony
Dziś powrócony
W ojczysty niebieski kraj.

—

Ach! temu błogo,
Kto skruchy drogą
Zechce duszę swoją wieść;
A tobie Panie!
Za zmiłowanie
Chwała, sława i cześć!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnle k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 16 (28) lutego 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*